

Październik 1935 r. Rok II. NUMER 1

Cena 20 gr.

MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ—DĘBICA.

Do Koleżanek i Kolegów.

Mój Boże, jak ten czas szybko leci!

Właśnie upływa rok od czasu, kiedy to mała grupka ryzykantów w naszej „budzie", znudzona coraz to dokuczliwszym jesiennym dżdżem, zaczęła przemyśliwać nad redagowaniem szkolnej gazetki, ale już nie ściennej, jak dotychczas, lecz wydawanej w kilkuset egzemplarzach, drukowanej w najprawdziwszej, autentycznej drukarni, z winietką na pierwszej stronie i t. d. i t. d.

Pomysł był olśniewający, ale gorzej było z jego realizacją, to też dwa pełne miesiące upłynęły na deliberacjach redaktorów in spe, a gazetka drukowana, bita w setkach egzemplarzy, z winietką na pierwszej stronie i t. d. i t. d. była ciagle marzeniem ściętej głowy. Marzenie to nabrało dopiero realnych kształtów z przybyciem do Zakładu p. prof. Dąbrowskiego, który wtajemniczony w plany redagowania gazetki, drukowanej w prawdziwej drukarni, bitej w setkach egzemplarzy i t. d. (jak wyżej) bardzo żywo zajął się tą sprawa i tak nią pokierował, że w krótkim czasie słowo stało się ciałem. Niebardzo to ciało było do słowa - pomysłu podobne, nie wszystko dało się zrobić tak, jak było zamierzone, no, ale dziwić się nie można: 1-szy numer „U nas" był małym, żałośnie wyglądającym, w dodatku dość drogo kosztującym noworodkiem, ale ojcowie chrzestni i wszyscy znajomi przyjęli go życzliwie i z optymizmem, wie-

rząc, że cherlawa na razie gazetka - osesek wyrośnie na porządny, ładny i tani miesięcznik (a może 2 tygodnik?) szkolny.

Niestety (tu zaczyna się niewesoła część artykułu) nie stało się tak, jak sobie redakcja życzyła. Pisemko się utrzymało, ale jego poziom nie osiągnął zamierzonej wysokości: wprawdzie objętość się powiększyła, a cena uległa stosunkowemu obniżeniu, ale naogół trzeba stwierdzić, że każdy numer powstawał wśród płaczu i zgrzytania zębów redaktorów, którzy z braku współpracowników wypełniali pisemko wyłącznie prawie swojemi elukubracjami, a drukarza opłacali częstokroć sowitemi obietnicami jedynie. Warunki pracy nie były więc pomyślne głównie zpowodu chronicznego braku materjału pisanego, a także i funduszów, jako, że kochani koleżkowie często zapominali, że wzięli gazetkę „na kredę“. Jeżeli już ten artykuł ma być poniekąd rachunkiem sumienia za rok ubiegły, to trzeba wyznać, że i redaktorzy niezawsze pracowali z równym zapałem, zniechęceni trudnościami i sceptyczno - obojętnem przyjęciem, z jakiem spotykała się praca prasowa w pewnej, części gimnazjalnego społeczeństwa.

Dość już jednak skarg, jeremjad i ponurych nastrojów. Najlepszą filozofją życia jest wiara w jutro. Miejmy nadzieję, że rok bieżący przyniesie pomyślne zmiany. Zależy to w dużej mierze od was Kochane Koleżanki i Koledzy. Wystarczy, byście część swego zapału twórczego wyładowali w tak szlachetnej formie, jaką jest praca pisarska. Bądźcie pewni, że wysiłki, podjęte dla poparcia naszej gazetki szkolnej, dadzą Wam moc zadowolenia. To starczy za wszelką zapłatę.

Chwyćcie więc jeszcze dziś za pióra i piszcie, piszcie, co chcecie, byle dobrze i bez blagi.

Tyle na dzisiaj.

Do widzenia na łamach „U nas“.

Mach Wilhelm

Z nad polskiego morza.

Wakacje są już za nami. Pozostały jednak wspomnienia, które umilają nam szarą, codzienną pracę

Tegoroczne wakacje zaznaczyły się wielką ilością miłych i doniosłych dla mnie zdarzeń; to o czem śniłam, czego pragnęłam sercem całem spełniło się.

Jeszcze jako uczennica szkoły powszechnej zdobyłam wiele cennych wiadomości o morzu. Wiadomości te stale pogłębiałam czytaniem książek, przeglądaniem ilustracyj dotyczących morza. Z zapartym oddechem przy-

słuchiwałam się różnym baśniom, opisującym wyprawy morskie, przygody rybaków i życie w głębinach morskich. Z zadowoleniem śledziłam szybki rozwój Gdyni na morzu.

W następstwie tego zrodziło się we mnie pragnienie zobaczenia tego drogiego zakątka Polski, tych szmaragdowych wód polskiego morza. Nie czekałam długo.

Podczas tegorocznych wakacyj nasza harcerska drużyna założyła kolonję wypoczynkową w Gdyni. Wraz z innemi koleżankami pojechałam i ja. W drodze do Gdyni nie mogłam oddechać ze wzruszenia, które ogarnęło moją duszę. Nie mogłam uwierzyć w to, że już za kilka godzin dotrę do upragnionego celu.

Pociąg sunął wciąż naprzód. Przed oczyma przesuwały się coraz to nowe krajobrazy. Cel podróży zbliżał się i ku niezmiernej naszej radości pokazały się zabudowania miasta Gdyni. Do Gdyni przyjechałyśmy rano.

Po południu tego dnia pierwsze nasze kroki skierowaliśmy nad morze, aby powitać szafirowe wody Bałtyku. Droga wydawała nam się niezmiernie długą, to też westchnienie ulgi wydobyło się z naszych piersi, gdy doszedł nas szum fal morskich, uderzających o brzegi. Im bardziej zbliżałyśmy się, tem stawał się wyraźniejszy, aż nagle droga urwała się i z ust wszystkich rozległ się okrzyk: morze!

Z nieopisaną radością widziałam nasz polski Bałtyk, który znałam z opowiadania i obrazków. Serce silniej uderzyło, twarz się rozpromieniła, oczy chłonęły widok przejrzystej fali morskiej. Tak zapatrzona stałabym długo, nie odczuwając zmęczenia.

Wieczór nadchodził, a z nim zbliżał się czas powrotu do obozu; z lasu wypełzł zmrok, otulając morze szarą zasłoną. Zoddali doszedł śpiew obozujących harcerzy:

„I póki kropla jest w Bałtyku,
Polskiem morzem będziesz Ty,
Bo o Twe wody szmaragdowe
Płynęła krew i nasze łzy".

Tak, dopóki kropla wody będzie w tobie, polskiem morzem zostaniesz. Nie oddamy Cię nikomu, choćby za cenę życia i krwi.

Wspomnienia harcerki z wycieczki na Hel.

Obozowałyśmy w Gdyni. Ponieważ zapowiadał się pogodny dzień, postanowiłyśmy pojechać na Hel. Po załatwieniu ostatnich formalności wsiadłyśmy na statek „Gdynia". kursujący między Gdynią a Jastarnią. Spuszczono pomost. Odbiłyśmy od brzegu. Od czasu do czasu spotykałyśmy jakiś statek, barkę, czy łódź podwodną. Istnieje ładny zwyczaj witania się statków przez podnoszenie i opuszczanie flagi.

Siedziałyśmy na pokładzie. Słońce mocno grzało, a jednak zimno ciągnęło od ciemnej topieli i chłodny wiatr hulał po statku. Zeszłyśmy na rufę. Tu było spokojniej, ale zato wyraźniej dawał się słyszeć plusk prutej dziobem statku wody. Dookoła statku powstawały wiry i kłębowiska spienionej masy wód. Za statkiem ciągnęło stado srebrno skrzydłych mew. Chwytały w locie kawałki pożywienia.

Wbrew pesymistycznym przewidywaniom dwugodzinna jazda przeszła bez przykrych przygód.

Celem naszej wycieczki była nie Jastarnia, lecz Jurata. Musiałyśmy pomaszerować tam pieszo. Droga ciągnęła się wśród lasu. Gdzieniegdzie widniały nagie wydmy piaszczyste. Rzucał się w oczy brak podszycia, a tem samem brak skrzydlatej rzeszy, która tak ożywia nasze gaje. Tylko szary, suchy mech miejscami czepiał się biednej, nie mogącej dać dostatecznych warunków do życia ziemi.

W połowie drogi trafiłyśmy na dobrą plażę. Poposiłku wszystkie druhny pokładły się na piasku, by się opalić. Po chwili doszedł do mych uszu głuchy łoskot. Ponieważ byłyśmy w pobliżu toru kolejowego, sądziłam, że to odgłos zbliżającego się pociągu. Lecz głos ten ani się nie zbliżał, ani też nie milkł. Wstałam tak, by nie widziała tego druhna Komendantka i z dwiema jeszcze koleżankami podążyłam w stronę, skąd dochodził łoskot, kierując się jedynie słuchem. Za ostatnią wydmą otworzył się widok na pełne morze, a nam wyrwał się okrzyk zdziwienia i zachwytu. Łomot pochodził z morza. To nie była spokojna zatoka, ale otwarte morze! Bałwany goniły jeden za drugim, z wściekłym rykiem do brzegu.

Na kilkanaście metrów od brzegu było pole piachu twardego, ubitego. Doskonała plaża, a jednak nigdzie żywej duszy. Tu i ówdzie sterczała kępka ostrej trawy morskiej, lub oset samotny dumał nad sposobem rozmnożenia swego rodzaju na niegościnnej glebie.

Po chwili dały się za nami słyszeć jakieś głosy. To reszta druhen zdążała w naszym kierunku. Teraz pobiegłyśmy do wody. Niemożliwością jest zachowanie stojącej pozycji wśród tych fal. Wyrabiają z człowiekiem co chcą, ale niebezpieczeństwa niema, gdyż wyrzucają ciągle na brzeg. W uszach huk, porozumienie się z drugimi trudne.

Po południu udałyśmy się do Juraty, bardzo miłej miejscowości. Są tu śliczne wille, ogrody pełne róż, letnicy kręcą się tu i tam, muzyka rozbrzmiewa wokoło.

Zbliżał się wieczór. Z żalem wróciłyśmy do Jastarni, a stąd statek „Wanda" poniósł nas do Gdyni.

Grundböckówna Zdzisława III. B.

Hufiec Dębica w Spale.

Zaroiło się tego roku w Spale. Około trzydzieści tysięcy młodzieży (w tem delegaci ze wszystkich stron Europy) przybyło na srebrne gody „Związku Harcerstwa Polskiego". Na krótki ten okres czasu powstało w Spale nowe miasto, posiadające wszystkie nowoczesne urządzenia, dla zaspokojenia tak potrzeb materjalnych, jak i duchowych. Organizacja zlotu budziła podziw u obcych. Harcerze z uśmiechem na ustach spełniali swoje czynności czy to w roli policjantów, kierujących ruchem ulicznym, czy to na warcie, czy w aprowizacji.

— — — — — — — — — —

Miasto-obóz zostało podzielone na dzielnice - podobozy. W podobozie „Kraków" znalazła się i nasza rodzina Dębiczan.

Przyjechaliśmy tu, aby wziąć udział w wielkiem święcie harcerskiem, nabrać sił i ochoty do dalszej pracy. Nie mam zamiaru pisać kroniki zlotowej, ale opiszę parę obrazków z życia naszej drużyny na Zlocie.

Najważniejszym dla nas momentem był udział w defiladzie podczas otwarcia Zlotu przed Głową Państwa i władzami harcerskiemi. Najlepiej (rzekomo) podczas defilady zaprezentowali się nasi żeglarze, może dlatego, że padał deszcz, urok ich zatem polegał na tem, że czuli się w swoim żywiole. Z dalszych trybun dały się słyszeć głośne okrzyki: „Niech żyją majtki, — jak one się dobrze trzymają“. — Jednem słowem dzielnieśmy się spisali.

Drużyna nasza jako jednostka występowała na arenie, biorąc udział w pokazach. Między innem był też pokaz z pionierki. W przeciągu 15-tu minut wyrósł w oczach widzów most zdudowany naszemi rękoma. Po ukończeniu na dowód solidnej roboty przemaszerowaliśmy po nim.

Ileż uroku miały ogniska! Bratały one nas nietylko z harcerzami polskimi ale i z zagranicznymi.

O gościach z zagranicy wspomnę parę słów. Na terenie Zlotu istniał zwyczaj zbierania autografów obcych harcerzy i zamiany rozmaitych przedmiotów, w języku harcerskim „czenczowaniem“ zwanej (Change). Mistrzem w tej dziedziny okazał się jeden z naszych druhów, który dla tychże zalet nazwany został „Jackiem Madziarem“. Czenczowaliśmy tak zawzięcie, że gdyby nasz pobyt przedłużył się jeszcze, wrócilibyśmy bez czapek i innych części umundurowania. Muszę tu nadmienić, że nasz podobóz gościł harcerzy - Węgrów, z którymi bardzo sympatyzowaliśmy. Odwiedzaliśmy się wzajemnie, a że zżycie się nasze miało głębszą podstawę, dowiodły kartki, które Węgrzy przysłali nam po Zlocie.

Dni te w przeciwstawieniu do obecnych upłynęły nam niebywale prędko, pozostawiając przekonanie, że wszystko, co dobre i wesołe, przemija jak piękny sen.

Czuwaj!

Aqua,

Dzień.

RANO.

Ranek jest świeży i czysty, jak chłodna źródlana woda;
[Czy słyszysz, jak tętni życie, znowu do pracy wstające?]
Ziemia. co z snu się otrząsła, znowy jest piękna i młoda,
Drzewa rośnemi listkami całują złote słońce.

POŁUDNIE,
Ziemia jak owoc dojrzały wygrzewa się do słońca,
Dojrzewającego lata barwą i wonią pijana.
W przestworzach rozlał się bezmiar ciszy ogromnej bez końca,
Wiatr zadziwiony milczeniem ukrył się w liściach kasztanów.
WIECZÓR.
Już w przepaść widnokręgu lecą zórz płaty czerwone,-
Gdzieś z dali nadciąga wieczór jak smutek i chmury.
Pieszczotą słońca zmęczone chylą się kwiatów korony,
Cisza wygrywa bezgłośnie swe księżycowe nokturny.

Mach Wilhelm.

„Jak to było na wakacjach ładnie"

Wuj był nudnym, stetryczałym staruszkiem, a ciotka nieznośną, czasami złośliwą pedantką. Wuj wyznawał kuchnię jarską. nie pił, nie palił, a przy każdej sposobności powtarzał: „ach, ta dzisiejsza młodzież". Zupełnie jakby się urodził odrazu 40-letnim mężczyzną. O ciotce niema co mówić: skrupulatka niemożliwa, dla której porządek, symetrja, dokładność były pierwszemi i jedynemi prawidłami życia. Zanudziłbym się na śmierć, spędzając u tak miłych krewnych całe wakacje, gdyby nie kuzynka Wanda, która ze swą małą siostrzyczką Lusią przyjechała do wujostwa z Warszawy. Wanda to bardzo ładna 18-letnia osóbka, dość na swój wiek wyrachowana, zimna i złośliwa, przedewszystkiem zaś niezbyt mądra. Początkowo podobała mi się bardzo. Tańczyła cudownie walca, wydawała się dowcipną i miłą w towarzystwie. No, a przedewszystkiem była z Warszawy Wszystko byłoby dobrze, gdyby moje zachwyty nie zostały tak brutalnie i prędko przerwane i to wskutek naiwności i szczerości 5-letniej Lusi. Raz widziała mnie w kąpieli rzecznej i w pewnej chwili pyta: — Ty, jak nurkujesz, to oczu nie zamykas, prawda? - Dlaczego mam nie zamykać? - pytam zdziwiony. - Bo Wandzia mówiła, że mas takie rybie ocy, a ryby przecież nie zamykają ocu we wodzie.

Grom z jasnego nieba. Rybie oczy! Rybie oczy! E heu!.. Ach zemsty!

Wandzia przestała być dla mnie ideałem. A zemsta przyszła nadspodziewanie prędko.

— — — — — — — — — —

Raz, gdy wuj i ciotka tonęli w miłym poobiednem „dolce

far niente" przybiegła z ogrodu zadyszana Wandzia, mówiąc pospiesznie:

— Goście!.. Goście!.. Już zajeżdżają!

— Kto? Gdzie? Jakie konie?!

— Och, jeden blondyn, a drugi stary, już zupełnie osiwiał

— Bogowie! Zemsta jest słodka.

Ile razy chciałem jej dokuczać, tyle razy wspominałem o fenomenalnej znajomości maści końskich, jaką odznaczają mieszkańcy Warszawy.

Dobrze jej tak. Za te rybie oczy.

— — — — — — — — — —

Jakoś w połowie lipca odwiedziłem swego dobrego kolegę w X. X. Przyjęto mnie wzruszająco serdecznie.

Ponieważ musiałem się zatrzymać dłużej w tej miejscowości celem załatwienia kilka spraw osobistych, zakwaterowałem się u kochanego towarzysza doli i niedoli szkolnej, naturalnie ze zgodą rodziców i rodzeństwa, wyrażoną spontanicznie i bezapelacyjnie szczerze (tak myślałem przynajmiej początkowo). Tuczyli mnie tam jak kapłona, przeznaczonego na ofiarę domowego stołu, prawili moc grzeczności i uprzejmości i oglądali ze wszech stron, jak prawdziwie ciekawy okaz przyrody. Przynajmiej 10 razy dziennie słyszałem, że nie powinienem się nic a nic krępować, że mogę się czuć, jak we własnym domu etc. etc.

Aby uniknąć podejrzeń „certolenia się", mówiłem, co mi ślina na język przyniosła i pożerałem mimo goracych protestów apetytu i żołądka, niesłychaną ilość pokarmów wszelkiego rodzaju, byle tylko wszystko wyglądało jak najbardziej domowo, naturalnie rodzinnie i t. d. Raz usłyszałem przypadkowo następującą rozmowę, prowadzoną w sąsiednim pokoju.

Matka (ponuro): Masło się kończy.

Córka nr. 1: Nie wiem, co gotować na obiad.

Gdybyśmy byli sami...

Córka nr. 2: A on siedzi.

Córka nr. 1: I ma apetyt nienajgorszy.

Matka: Masła niema. Cukru niema. (do syna) Jasiu Jasiu pocoś ty go sprowadził do domu?

Syn (niezdecydowanie): Bo niby on... tego... widzi mama.. gość w dom, Bóg w dom...

Matka, Córka 1 Córka 2 (razem): Bodaj to wszyscy djabli!..

— — — — — — — — — —

Wobec takiego obrotu rzeczy tego samego dnia po obiedzie zapytałem kolegi uprzejmie, lecz stanowczo, czy nie

orjentuje się w rozkładzie jazdy. Chodzi mi mianowicie o pociągi w stronę Z. Z. Usłużny Jasio skoczył do sąsiedniego kiosku, powrócił zdyszany, spojrzał na zegar i krzyknął z mocnym, dramatycznym akcentem:

— Przekleństwo!

— Dlaczego? Co ci jest?

— Nic, tylko widzisz... Teraz jest godzina 2.30, a pociąg do Z. Z. odchodzi za 10 minut. Nie zdążysz!.. nie zdążysz!... nie zdążysz!...

— No? więc czego krzyczysz? Czy ci tak zależy na tem, abym się jak najprędzej wynosił? - pytam z lekką nutką obrazy w głosie.

— Ach, nie! Jak możesz nawet tak sądzić. Nic nie mów, tylko się śpiesz, na Boga!

— Nie zdążę przecież. Odjadę następnym pociągiem.

— Odwiozę cię na stację rowerem. Prędko, prędko.

— Mam kufer.

— Najmę dorożkę.

— — Pożegnano mnie ze łzami w oczach rozczulenia. Naturalnie - spóźniłem się do pociągu i siedziałem w poczekalni 7 godzin.

— — — — — — — — — —

Pod koniec wakacyj przypomniałem sobie pewne wzniosłe wskazanie naszych dobrych profesorów, że to niby trzeba powtarzać. Repetitio est mater studiorum. W porządku. Na pierwszy ogień pójdzie historja.

Otwieram więc książkę na chybił - trafił: Aleksander Macedoński. Niech będzie i to. Tak. Macedoński: Do tego król i wódz. Ładne nazwisko i całkiem polskie: na - ski.

Ten Aleksander miał konia, pięknego rumaka Bucefała. Co za wspaniałe, jędrne imię: Bucefał.

-- Ciociu! Musisz koniecznie kupić jeszcze jednego konia. I będzie się nazywał Bucefał

— Też pomysł? Jakiegoś Bucefała mu się zachciewa no, no. Nam już nie potrzeba. Dość nam jednego. (Złośliwe spojrzenie w moją stronę).

Ach!.. Więc i ciotka przeciwko mnie? Więc ja mam być Bucefałem. Dziękuję. Żeby się już te wakacje jak najprędziej skończyły.

Wuj lubi pasjami mówić do rymu. Ni to przyszył, ni przyłatał, bez ładu. składu i sensu gada wierszem cały dzień, jak nakręcony automat. W dodatku utrzymuje, że ma zdolności poetyckie i (co tu dużo gadać) - dla głupiego, kołtuńskiego gospodarowania zatracił i zmarnował bujny, wprost nieprze-

cętny talent. Pasja mnie bierze, gdy słucham tych wywodów - ale cóż mam robić? Megalomanja jest chorobą wielce rozpowszechnioną i niema na nią lekarstwa, bo zdrowego rozsądku w aptece nie dostaniesz.

Raz dla odmiany próbowałem powtarzać fizykę Właśnie zagłębiam się w tajemnice mechaniki i usiłuję zapamiętać ważny wzór!

-... opór ma się tak do siły...

— jak topór do piły - przerywa miodousty wuj, zjawiając się w drzwiach pokoju

— Wuju, dałbyś już raz spokój z rymami. Mickiewicz był i będzie jeden. Konkurencja niedozwo ona Pozatem nie przeszkadzaj mi w nauce.

— Mógłbyś przemawiać uprzejmiej do swego wuja.

Lecz wiem, dlaczego tak nie jest:
Zazdrość jest powodem głównym,
Bo nie możesz być mi równym.

— To ci morowe - wołam. Niby ja mam zazdrościć wujowi tej... tej beznadziejnej kalwarji?

Zamiast spodziewanego wybuchu gniewu, za tak chwalebną ocenę jego poetyckich porywów wuj uderzył w ton zrezygnowanej melancholji:

— Nikt nie może, nikt, niestety
Zrozumieć duszy poety.
Lecz czyż więcej się należy
Dziś spodziewać od młodzieży?

Tego było stanowczo za d żo. Znowu „młodzież dzisiejsza". Trzeba się odpłacić tą samą miarką:

— Wuju! bardzo mi niemiło,
Lecz - na duszę
Stwierdzić muszę:
W głowie ci się przewróciło.

Miałem jeszcze coś na języku, lecz stało się coś strasznego. Wuj poczerwieniał, jak burak i krzyknął, aż się szyby zatrzęsły:

Skończ zaraz te słowa głupie,
Bo cię... bo cię... zakatrupię!!!

Wobec tak miłej perspektywy, widząc, co się święci, objawiłem nagle zainteresowanie odwrotną stroną drzwi i wyszedłem pospiesznie z pokoju.

— — — — — — — — — —

Zaraz potem w ciągu najbliższej nocy miałem dziwny sen Na prawdziwym, wspaniałym Bucyfale, przyjechał do nas Aleksander Wielki. Całe podwórze pełne było wojska. Patrzy-

łem na to wszystko w najwyższem zdumieniu, aż tu nagle Aleksander Macedoński zmienił się w cesarza Abisynji. Był dziki, czarny, obrośnięty, całkiem murzynski, jednem słowem: straszny. Ledwie zdążyłem sobie pomyśleć, że jednak Włochy mają rację - gdy cesarz zawołał [po polsku] swego kucharza i rzekł, wskazując na wuja:

-- Zrobisz mi dziś na obiad pierożki z móżdżkiem. Mózg wyjmiesz z głowy tego oto starego niewolnika.

-- Panie ludożerco! - zawołałem, padając na kolana. - daruj mu życie. Niewiele on ma mózgu w głowie i wystarczy kucharzowi najwyżej do 2 pierożków.

Niewdzięczny wuj, śmiejąc się okropnie, zawołał, wskazując na mnie.

— Zarżnijcie i tego oto bucefała, a będzie o jeden piróg więcej.

W tej chwili zbliżył się do mnie kucharz i połaskotał mnie po szyi toporem. Z przerażeniem spojrzałem na niego i w tej chwili krzyknąłem głośno: kucharz miał twarz ciotki.

Obudziłem się.

— — — — — — — — — —

Skończył się sierpień. Za 3 dni trzeba iść do szkoły. Wczoraj widziałem jesień. Szła powoli przez ogród i całowała ostatnie róże, które rozsypywały się od jej tchnienia. Pod jej stopami żółkła i więdła trawa, tylko astry rozwijały się wspaniale, zbudzone do życia jej cudownem, smutnem spojrzeniem. Wrony latały wiankiem nad jej głową, pokrakując dziko, lekki wiatr rozwiewał czarne włosy przeplatane srebrnemi nićmi babiego lata. Gdzieś z oddali dolatywały ostatnie echa weselnej pieśni odchodzącego lata.

— — — — — — — — — —

Wakacje się skończyły. Prędko minął ten miły czas.

Trudno! Żal mi cię - nieboże.

Lecz nic wiecznie trwać nie może.

Takiemi słowy odezwał się do mnie wuj godzinę przed odjazdem, niepamiętny na przykre zajście, jakie miało miejsce między nami przed kilku dniami: Jak widać, błoga świadomość, że mnie za kilkadziesiąt minut już nie będzie, potrafiła wyrugować urazę z wujowskiego serca.

Już siedzę w bryczce. Ostatnie pożegnania.

Ostatni logiczny wywód ciotki:

— Ucz się. Rób, co będziesz mógł. A ponieważ móc to chcieć, więc...

— więc będę robił, co będę chciał. Brawo ciociu!

Doskonała, kapitalna rada.
Bryczka rusza.
— Bądź zdrów!
— Bądźcie zdrowi!

Ag.

Z Letniego Obozu P. W.

w Starym Sączu.

Siedemnastego czerwca popołudniu wyjechaliśmy z Tarnowa do Starego Sącza Pociąg był pełen junaków, śmiechu i radości. Każdy cieszył się na swój sposób:

. . . wszak to jedziemy na obóz!!!

Podobno jeden z instruktorów P. W. patrząc na nas, miał powiedzieć:

Miłe złego początki!!

Nie dbałem o powiedzonko, lecz ten instruktor przekonał mnie później o prawdziwości tegoż W Starym Sączu powitał nas tłum młodzieży płci obojga. — Ten sobie mówił i ten sobie mówił — „pełno radości i krzyku" — A wieczór . . . . po rozdzieleniu nas na kompanje i inne jednostki wojskowe dano nam na kolację... czarnej kawy; Pardon! więcej czarnej . . . niż kawy

— — — — — — — — — — —

Następnego dnia (poniedziałek) odbyło się uroczyste otwarcie obozu. Po nabożeństwie w kościele starosądeckim wróciliśmy do rejonu obozu, gdzie wysluchaliśmy kilku przemówień. Między innemi p. burmistrz Starego Sącza tak powiedział.

— Wody i powietrza, Kochani Chłopcy Wam nie żałujemy.—

By Koleżanki i Koledzy mogli ocenić, jak wielkiem dobrodziejstwem dla nas było to gratisowe powietrze i woda, to dodam, że w naszych uzdrowiskach i kąpieliskach płaci się podczas pobytu t. zw. taksę klimatyczną rzekomo za . . . zużyte powietrze — więc czyż p. burmistrz nie był naprawdę szczodrym?

Po przemówieniach — hymm „Jeszcze Polska", potem baczność!! Wyprężyły się szeregi, Sztandar wzniósł się do połowy masztu.

Obóz otwarty.

— — — — — — — — — — —

Na zakończenie defilada.

Przy przejmującym warkocie bębnów szły kompanje . . . szły takie jakieś poważane, może smutne.

A bębny, grały, warczały i zdały się mówić: . . . tak . . . grałyśmy na Mokotowie podczas

OSTATNIEJ.

W oczach jednego z doboszów dojrzałem łzy . . .

— — — — — — — — — — —

Dnie biegły szybko, bliźniaczo do siebie podobne. Rano: pobudka, mycie się, gimnastyka, modlitwa, śniadanie: potem ćwiczenia, powrót z ćwiczeń, przerwa . . . i wyczekiwanie w ogonku na imitację obiadu Podczas tego wyczekiwania wznosiliśmy antykuchenne okrzyki, jak n. p. my chcemy chleba! —, a ci, którzy już wracali od kotłów z gotową strawą (znaczy woda z trawą) rozrzucali raz na lewo, raz na prawo antykuchenne ulotki (sic!) w postaci niedogotowanych ziemniaków. Jeszcze a propos obiadów: złośliwi twierdzą, że junacy łatali buty . . . kotletami.

— — — — — — — — — — —

Popołudniu W. F. l wykłady.

Mówi Kapral K... Ślązak: „—żołnierz prócz innych wieheisterów" posiada chlebak:" jak już sama nazwa wskazuje, służy on do . . . noszenia granatów..!?

Inny przykład:

—Podczas marszu nie wolno jeść pod żadnym warunkiem kiełbasy, gdyż soki jej wpływają destrukcyjnie na nas, czyniąc nas leniwymi do marszu".

Następnego dnia mieliśmy wycieczkę do Marcinkowic, każdy dostał żywność na cały dzień w postaci połowy bochenka chleba i 20 dkg. . . . kiełbasy!?

— — — — — — — — — — —

W wolnych chwilach zdobiliśmy przestrzeń koło namiotów.

Usypaliśmy kopczyk, a na szczycie tegoż kolega Agapit wyrzeźbił tarczę z numerem 352—, przed kopczykiem zaś odznakę P. O. S.

— — — — — — — — — — —

I tak minęło 15 dni. Po pożegnalnym, wspólnym obiedzie wróciliśmy do Dębicy! A szkoda . . . tak nam było miło i wesoło. —

Szewczyk Czesław Kl. VIII.

Ogród w nocy.

Noc się wylewa z nieba i wsiąka w drzew listowie,
Sączy się w dzwonki lilij, czerwone rosi róże...
Cicho szepce, sitowie rosnące dziko w rowie,
Że księżyc dziś utonął w poulewnej kałuży.
Wysokie słoneczniki skłoniły złote czoła
I trwają w smutnych myślach o zbiegłej dnia pogodzie,
W leszczynie wiatr szeleści, na grzędach gwarzą zioła
Że się w rogu ogrodu pierwszy harbuz urodził.
Jest wonnie i szelestnię.-
Białe głowy kapusty
Słuchają szmeru liści rozłożystych czereśni,.
Ule milczeniem kłamią, że są bezmiodne i puste--
Spokòj srebrzysty, wielki w nocną się ciszę weśnił.

Mach W.

Z nowym rokiem szkolnym.

Gdyśmy rok temu przestępowali po raz pierwszy progi Gimnazjum, był w sercach naszych jakiś lęk. jakaś nieśmiałość i na ustą cisnęło się pytanie, jakie też zmiany wprowadzi w nasze życie ten mundur nowy z niebieskiemi wypustkami, ta tarcza na rękawie. Ciekawie oglądaliśmy nową oznakę na czapce, niewiele nawet rozumiejąc, co ona wyobraża. Ciekawiło nas grono profesorskie i koleżeńskie, wogóle wszysko, co złączone było z Gimnazjum.

Dziś już nieco inaczej wyglądamy: mundurek nie jest tak granatowy, jak przed rokiem, tarcza trochę wyblakła, oznaka

przyżółkła i już na wielu czapkach nitką przypięta. Bramę Gimnazjum witamy jako „naszą“ już dobrze znaną i z pewnym pobłażliwym uśmiechem spoglądamy na nowoprzybyłych do klasy I, tak jak na nas spoglądano przed rokiem. Dziś już wchodzimy w progi szkoły bez lęku, bo wiemy, ile radości możemy znaleźć w szarych murach naszego Gimnazjum. Miłe były beztroskie wakacje, lecz jakże miłemi są te drobne, codzienne kłopoty szkolne. Nietrzeba już obmyślać zajęcia na dziś, na jutro, jak to się czyniło podczas wakacyj, bo praca sama się wyłania. Spojrzyjmy tylko na podział godzin: łacina, przyroda matematyka.... i tak z dnia na dzień.

W tym roku wakacje mieliśmy wyjątkowo długie, mieliśmy więc i dość czasu na wypoczynek po zeszłorocznych trudach. Teraz możemy z nowym zasobem sił zabrać się do pracy. A ma to być praca ochotna, niestrudzona, owocna, praca młodzieży, do której należy przyszłość, w ktorej starsi pokładają nadzieję, a która ma „ruszyć z posad bryłę świata“ i pchnąć ją na nowe tory. Stańmy się godnymi naszych mundurów i tarcz, a pochodnia oświaty, której symbol nosimy na czapkach, niechaj rozsiewa wokoło swe blaski. Niech ludzie poznają w nas wychow nków gimnazjum nie po mundurach i tarczach, lecz po kulturze naszego zachowania się i naszych czynów.

Słusznie powiedział starożytny mędrzec Plutarch, że „dusza to nie naczynie, które należy napełniać, lecz ognisko, które należy rozpalić“. Praca nad kształtowaniem duszy nigdy się nie kończy. Winniśmy więc ustawicznie nad sobą pracować, ułatwiać pracę naszym wychowawcom i żyć tak, abyśmy kiedyś wraz z Sienkiewiczem powiedzieć mogli: „Choćby świat i życie było jak najgorsze, jedno w nich zostanie wiecznie piękne - młodość“.

K. Jarecka II a,

O książce dla czytelnika.

Chcę z Wami pomówić dzisiaj o rzeczy, która nas bardzo blisko dotyczy Przykroby mi było, gdybyście to, o czem mam zamiar pisać, przyjęli jako pisanie morałów. Nie, jestem daleki od tego. Pragnę tylko przyjść do Was z przyjazną, koleżeńską radą i proszę, abyście się też w ten sposób do niej ustosunkowali.—Zgoda?,.

W odwiecznym pochodzie ludzkości ku doskonaleniu się nik nie może pozostać wtyle. Już na ławie szkolnej przygotowuje się do zdobycia miejsca w świecie kulturalnym i do posunięcia go naprzód. Jednym z najważniejszych czynników zmierzających do tego jest książka. Nie mam bynajmniej zamiaru powtarzać tego, o czem często się mówi, że książka rozszerza nasze horyzonty myślowe, pozwala nam wy-

robić sobie skrystalizowany świtatopogląd i t. d. Dzisiaj zamierzam podzielić się z Wami kilkoma praktycznemi wskazówkami.

Przedewszystkiem, jeśli chodzi o wybór książki, to nie należy zadowalać się pierwszą lepszą książką, która pociąga nas swym posmakiem sensacyjności. Czas zużyty na przeczytanie takiej książki jest zupełnie nieproduktywny i zmarnowany. Nie chodzi też o nadmierne przeładowanie się książkami. Niesłusznym jest pogląd, że należy połykać jak najwięcej książek. Raczej powinno się czytać mniej książek, ale zato wartościowe, które potrafią nam coś dać. Samo czytanie wymaga też pewnych zasad, jeżeli ma przynieść korzyść. Trzeba czytać uważnie a nie śledzić wzrokiem tylko akcję, jak to często czynimy. Należy wgłębić się w książkę, wczuć się w kategorję myślenia autora. Ważną również rzeczą jest pewna reasumpcja treści po przeczytaniu książki, oraz zajęcie krytycznego stanowiska wobec sutora.

Goldfluss Leopold kl. VII.

Na marginesie „Lata leśnych ludzi", M. Rodziewiczówny.

Żyje kasta „leśnych ludzi". Łatwo ich poznać. Mimo że są rozproszeni po całej ziemi, że jedni nie widzą drugich, że różnią ich warunki życia; to jednak są do siebie podobni czują się członkami jednej rodziny. Jednoczy ich bowiem miłość do wszystkiego, co szlachetne piękne, tęsknota za swobodą pól i lasów, pogarda dla małych spraw ludzkich. Serca ich biją miłością, jednym rytmem pieśń braterstwa wydzwaniają. Takimi są bohaterowie „Lata leśnych ludzi". Kawałek gruntu wśród lasu i daleko od ludzi do miejsca gdzie spędzają lata. Dusze ich pełne są miłości do wszystkiego, co żyje, szacunku dla pracy ludzkiej, uwielbienia dla majestatycznej powagi przyrody. Ubrani są w szaty barwy lasu, by nie psuli harmonji piękna tu panującego. Rzadko i mało mówią. Zresztą pocóż mówić, kiedy wokół nich śpiewa natura, najcudowniejszy hymn życia.

Aż pewnego dnia w życie ich pełne cichej radości i wzajemnego zrozumienia wtargnął młody chłopak zepsuty przez „życie" wielkiego miasta. Nie wszedł jeszcze w świat a już szydzi z życia i nie wierzy weń. Dla wszystkich posiada jeno pogardę i cyniczny uśmiech na wargach. Następuje przykry dysonans między nim a „leśnymi ludźmi". Jak gdyby ktoś obrażał najpiękniejsze uczucia, najwrażliwsze struny duszy ludzkiej.

— Cóż się jednak dzieje?.. Oto przyjazne serca „leśnych ludzi", praca samodzielna i czar natury zmieniły go. Las dotąd niemy dla niego zagrał tysiącem dźwięków i barw, nabrał treści i wyrazu. Coto stał się jednym z „leśnych ludzi". a kiedy odleciały ptaki, gdy opustoszał leśny raj, młody chłopiec wrócił do miasta z odmienioną duszą.

— — — — — — — — — — —

Istnieje wielu „leśnych ludzi", którzy szukają piękna i pragną je tworzyć wokół siebie, życie jednak stawia im na drodze zamiast sprzymierzeńców ludzi zgorszniałych zrezygnowanych, przeżytych „Leśni ludzie nie mają środowiska, w któremby się mogli w pełni rozwijać i wyżywać.

Zamiast przyciągać do siebie i uszczęśliwiać innych, znikają w masie szarych zjadaczy chleba.

Goldfluss Leopold kl. VII.

Wydawca: Centralny Zarząd Gmin. — — Redaktor odpow.: Mgr. Dąbrowski Michał.
Redaktor: Mach Wilhelm. — — — Druk. Hauser, Dębica.